

Cicha wojna Izraela przeciw Iranowi i podchody w Waszyngtonie

28 kwietnia 2021

Miesiąc temu, pod koniec marca, najpierw w amerykańskim „Wall Street Journal”, a potem w izraelskim „Ha’aretz” ukazały się artykuły o „bitwie morskiej” izraelskiej marynarki wojennej przeciw irańskim tankowcom, która trwa już dwa i pół roku. Tak dowiedziała się o niej szersza publiczność, poinformowana dwa tygodnie później, że sabotażyści izraelskiego Mosadu narobili sporych szkód w irańskim ośrodku badań atomowych w Natanzu, gdzie wzbogaca się uran. O co chodzi Izraelowi?

Zanim przejdziemy do celów politycznych izraelskiego reżimu apartheidu, warto wyjaśnić, że użyte przez media określenie „bitwa morska” jest tu bardzo umowne, bo tankowce to nie okręty wojenne, są bezbronne. Odnosi się ono raczej do pewnej gry. Np. w minioną sobotę Izraelczycy zbombardowali irański tankowiec u wybrzeży syryjskich, niedaleko portu Banijas, uszkodzając statek i zabijając przy okazji trzy osoby. Takie napaści, zwykle z użyciem okrętów podwodnych, Izrael prowadzi rzadko na Morzu Śródziemnym, głównie w Zatoce Omańskiej i na Morzach Arabskim i Czerwonym.

Do tej pory, zarówno Izrael, jak i Iran nie dopuszczały do mass-mediów informacji o „bitwie”, każdy z innych względów. Żaden irański statek nie zatonął, ale wiele z nich zostało wystarczająco uszkodzonych, by odwołać lub opóźnić dostawy ropy. Izraelczycy wyeliminowali w ten sposób ok. 20 tankowców. Według ich informacji, udało im się w ten sposób zmusić Iran do wydania ponad miliarda dolarów (!) na naprawy.

Po ujawnieniu izraelskich napadów, Irańczycy zareagowali stosunkowo szybko, uszkodzając dwa izraelskie kontenerowce w

Zatoce Perskiej – lekko, by jednak nie doprowadzić do otwartej wojny na morzu. Iran pozostaje otoczony systemem amerykańskich baz lotniczych z bombowcami strategicznymi, woli być ostrożny. Ale jeszcze 7 kwietnia, na kilka godzin przed otwarciem negocjacji amerykańsko-irańskich w Wiedniu, Izrael uderzył w irański statek handlowy Saviz na Morzu Czerwonym.

Bomby w Natanzu

Kilka dni później, 11 kwietnia, Mosadowi udało się podłożyć bomby w podziemiach głównego irańskiego ośrodka wzbogacania uranu, gdzie – według źródeł amerykańskich – miałoby ulec zniszczeniu lub uszkodzeniu „tysiące wirówek” (urządzeń do produkcji izotopu 235, bardziej radioaktywnego niż uran naturalny). Świat dowiedział się o zamachu dzięki zielonemu światłu izraelskiej cenzury wojskowej – tamtejsze media pękały z dumy. Irańczykom pozostało tylko przyznać, że doszło do zniszczeń, choć oczywiście starali się je minimalizować. Irański wykonawca, 43-letni Reza Karimi, zdołał uciec na kilka dni przed wybuchami. Irańczycy zgłosili zdrajcę do Interpolu, ale oczywiście nikt go nie będzie ścigał, bo CIA i Mosad mają tam wystarczające wpływy.

Ajatollah Ali Chamenei – duchowy przywódca szyickiego Iranu – od lat zapewnia, że jego kraj nie ma zamiaru produkować bomby atomowej, gdyż byłoby to „niemoralne”. To samo powtarza prezydent Hasan Rouhani, lecz reżim izraelski przekonuje wszystkich, że to kłamstwo, a Stany Zjednoczone powinny zniszczyć Iran jak Irak, Libię i Syrię (choć te kraje nie miały broni masowej zagłady, w odróżnieniu od Izraela), skoro są sojusznicze. Amerykanie tymczasem ociągają się z tym: Obama zgodził się nawet w 2015 r. zawrzeć pod egidą ONZ i innych mocarstw układ atomowy z Iranem, który uniemożliwiał mu atomową produkcję wojskową, jak chciał Tel-Awiv. Problem w tym, że mimo to Izraelczycy nie przestali myśleć o zniszczeniu Iranu: chcieli więcej i układ ich nie uspokoił.

Cel: Waszyngton

Amerykanie naturalnie spełniają wszystkie życzenia Tel-Awiwu, lecz mają mega-twardą zasadę, że napadają i niszczą wyłącznie słabe kraje, w zasadzie bezbronne, a Iran słaby nie jest. Poprzedni prezydent imperium Donald Trump, chcąc uniknąć prowadzenia otwartej wojny z Teheranem, wybrał drogę maksymalnego zadowolenia Izraela na wszystkich innych polach: w 2018 r. zerwał układ atomowy z Iranem, nałożył na ten kraj surowe sankcje (podobnie na wszystkie inne na naszej planecie, gdyby chciały z nim handlować), uznał bezprawne izraelskie aneksje ziem palestyńskich i syryjskich, przeniósł ambasadę USA do spornej Jerozolimy (Al Kuds), pobłogosławił morderczy terror okupacji i popierał żydowską kolonizację palestyńskich ziem okupowanych, kazał zabić irańskiego gen. Solejmaniego, zasypał Izrael dolarami itd., ale do czynu głównego, upragnionego przez izraelskich nacjonalistów, nie przeszedł.

Izraelskie naciski trwają już około ćwierćwiecza, lecz od zerwania układu atomowego przez Trumpa izraelska aktywność na polu poszukiwania casus belli, który zmusiłby Waszyngton do działania, nabrała wyjątkowego tempa. Prowokowanie Iranu do zdecydowanej reakcji zbrojnej poprzez nieustanne bombardowania umęczonej Syrii, napaści na statki, zamachy terrorystyczne w Iraku i Iranie, czy wzmacnianie dżihadystów, ciągle jakby nie wystarczają, by USA odstąpiły od swej mega-twardej zasady.

Waszyngton ma oczy zwrócone na Moskwę i przede wszystkim Pekin, z którymi walczy za pomocą tworzenia stałych, lecz nieco sinusoidalnych napięć, ale może z nimi wojować najwyżej przez pośredników i to mu na razie wystarcza. Biden ciągle ogląda się też na Wenezuelę, która byłaby smacznym, naftowym kąskiem i w tej mocarstwowej grze Iranu nie bardzo widzi. Stąd Izrael, choć coraz silniej bezpośrednio uderza w Persów i zdecydowanie wybrał konfrontację z nimi, celuje w Waszyngton.

Wiedeń, miasto szpiegów

Tel-Awiv jest skrajnie zaniepokojony negocjacjami w Wiedniu. Uczestniczą w nich przedstawiciele mocarstw, które sygnowały układ atomowy z 2015 r., ale naturalnie liczą się jedynie rozmowy USA-Iran, i choć są bardzo trudne – postępują (w wolnym tempie), jakby Biden rzeczywiście chciał dać sobie spokój z Teheranem poprzez powrót do układu. Sabotowanie tych rokowań przez Izraelczyków, oprócz różnego rodzaju prowokacji w terenie, obejmuje próbę wzmocnienia konserwatywnego skrzydła we władzach irańskich, które jest gotowe machnąć ręką na wiedeńskie rozmowy. Nie tylko z niecierpliwości, ale i braku wiary, że rzeczywiście do czegoś doprowadzą. Biden, po niebywałych prezentach Trumpa nie ma już właściwie czym zadowolić Izrael, może tylko w nieskończoność przedłużać rokowania.

Z Teheranu nadchodzą niepewne wieści: ajatollah Chamenei, który zgodził się na wiedeńskie rozmowy mimo, że twierdził wcześniej, że z „terrorystami (czyli USA/Izraelem) nie należy rozmawiać”, po zamachu na Natanz powiedział, że nie pozwoli, by negocjacje układowe „przedłużały się ponad miarę”. Tymczasem amerykański departament stanu nawet się nie zająknął na temat izraelskiej akcji w Natanzu: Antony Blinken bardzo tradycyjnie określił jedynie irańską reakcję nań jako „prowokacyjną”.

Ta prowokacja po zamachu polegała na wprowadzeniu do produkcji izotopu przez Iran tysiąca nowych, bardziej zresztą wydajnych wirówek, i ogłoszeniu, że „dla celów medycznych” zwiększy wzbogacanie uranu do 60 proc. „To skomplikuje rozmowy w Wiedniu” – postraszył szef dyplomacji USA, który bardzo dba, by z jego biura nadchodziły radykalnie sprzeczne sygnały.

Co z tą bombą?

Ali-Akbar Salehi, szef Irańskiej Agencji Energii Atomowej, poinformował w zeszłym tygodniu, że w Natanzu udało się już otrzymywać „9 gram U-235 na godzinę”. Gdyby Irańczycy zechcieli wyprodukować bombę, potrzebowaliby ponad 320 dni, by dojść w tym tempie do 70 kg uranu wzbogaconego do 60 proc. Potem musieliby zacząć od początku wzbogacanie tego do 90 proc., by otrzymać masę krytyczną 25 kg izotopu U-235 niezbędnego do wyprodukowania jednej, stosunkowo bardzo słabej bomby atomowej. Wzbogacanie jest jawne, bo w przeciwieństwie do Izraela, który ma setki głowic nuklearnych, Iran należy do układu o nierozprzestrzenianiu (nie produkowaniu lub nie kupowaniu-sprzedawaniu) takich broni i jest regularnie kontrolowany przez inspektorów Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej z Wiednia. Izraelczycy – przynajmniej oficjalnie – nie wierzą w pokojowe wykorzystanie irańskiego uranu.

W połowie lutego w Natanzu było ledwo 17,5 kg uranu wzbogaconego do 20 proc., więc droga do hipotetycznej bomby jest jeszcze długa. Układ zerwany przez USA 4 lata temu zezwalał Irańczykom na wzbogacanie uranu jedynie do 3,67 proc., więc izraelskie naciski dyplomatyczne doprowadziły do dania Iranowi wolnej ręki. Iran ciągle upiera się, że nie chce bomby, ale co by się stało, gdyby Izraelczykom udało się zmusić USA do napaści na ten kraj?

Drobna różnica

Prawdziwa bomba ukazała się nazajutrz po izraelskim zamachu w „Washington Post”: „Nieustanne, izraelskie ataki na Iran mogą zagrażać dyplomacji Bidena”. Pismo zdobyło się na akt niebywałej, wręcz bezczelnej odwagi, wyraźnie pisząc w swym artykule redakcyjnym, że „istnieje różnica” między interesami Stanów i Izraela! To oczywiste, ale tego się nie mówi. Gazeta przekonuje, że zgoda z Iranem by się przydała, by skoncentrować siły na „chińskim wyzwaniu”. To paradoksalnie

znaczy, że w administracji jest jednak popierana przez Izrael, ciągle silna „opcja irańska”, jeśli chodzi o plany przyszłych konfliktów i ich intensywności.

Cele polityczne Tel-Awiwu mogą jednak doprowadzić do bezprecedensowego starcia między Bidenem a Netanjahu, czy kimkolwiek, kto będzie rządził izraelskim reżimem apartheidu. Wtedy któryś z nich będzie musiał je przegrać... A Iran? To bardzo stary, jednak cierpliwy kraj, który po prostu poczeka na wynik.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu